

Kolonia i misja polska w Londynie.



W jesieni roku zeszłego poświęcił arcybiskup westminsterski, Vaughan, polski kościółek pod wezwaniem św. Kazimierza i św. Józefa w Londynie, i nareszcie, po wielu latach niepewnych, a nawet burzliwych kolei losu, misja polska ustaliła swój byt i okazalszą przybrała postać. Kościółek, wzniesiony z inicjatywy kapituły i zakonu Miłości Boskiej w Sèvres pod Paryżem, rękoma braciszków Polaków, kryje się we wschodniej, przez proletaryat zamieszkaney dzielnicy miasta, w t. z. East-end'zie, składającym się na dziwaczną i ciekawą mozaikę ludzi, z najrozmaitszych sfer geograficznych i duchowych, w którą wplata się około trzech tysięcy rękodzielników polskich i litewskich.

Nie strzelają tutaj ku niebiosom dumne wieżycy gotyckie, świątynia nie wabi oczu przechodnia pięknoscią architektury; ulica niewidoczna, osiadła cichutko pomiędzy stekiem zabudowań, niby grono ludzi, którym służy, przysłonięte przed światem ogromnymi murami angielskiej społeczności. Jedynie furta klasztorna, oraz napis: „Roman Catholic Church.“ wskazują nam z ulicy istnienie swojskiego zakątka, gdzie w niedziele i święta rozbrzmiewają pienia polskich i litewskich pieśni i zlewają się w jeden harmonijny akord. Trzej gołębiego serca zakonnicy, stojący przy boku O. Antoniego Lejcherta i jego zastępcy ks. Józefa Bakanowskiego, krzątają się zawsze jeszcze w dni powszednie około kościołka, tynkując lub malując ściany, naprawiając łupkowy dach, lub sadząc kwiaty opodal wejścia, jakoż przedstawia się on jasno, schludnie, pokaźnie. Ponad skromnym ołtarzem obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, na ścianach dwa z Krakowa nadesłane płótna św. Patronów, przestrzeń wypełniona ławkami i klęcznikami. Około trzystu osób może pomieścić się w jaskrawych murach kościołka, ale w święta bywa tutaj ciasno, i nabożny lud wylega aż przed front, przypominający dzwonnice, na niewielki dziedziniec, odgradzony murem od zakładów fabrycznych.

Do świątyni tuli się z boku murowana szopa z przyborami rzemieślniczymi, a nad wszystkim czuwa plebania o czterech pokojach, mieszcząca sypialnię plebana, braciszków, tudzież kancelaryę.

Do sumie gwarno i rojno na podwórzu, lud obiega błędza z prośbą o ślub, pogrzeb lub



Kościół ŚŚ. Józefa i Kazimierza w Londynie.

chrzciny, gwarzy między sobą, na grupy rozbity, niby przed nadwiślańskim kościołkiem.

Tu Litwin opowiada znajomym o przyjeźdźnych, tam niewiasta radzi się o coś polskiej zakonnicy, Nazaretanki, przywdzianej czarno, z twarzą pogodną, ujętą w ramy białego płótna.

Niema zakątka ziem polskich, który nie miałby w tem zgromadzeniu swego przedstawiciela. Ileż tu twarzy o rysach dobrze nam znanych!

Ale próżno szukałbyś tu zgrzebnej koszuli, sukmany lub siermięgi: wszyscy przybrani po miejsku, dostatnio, z angielską...

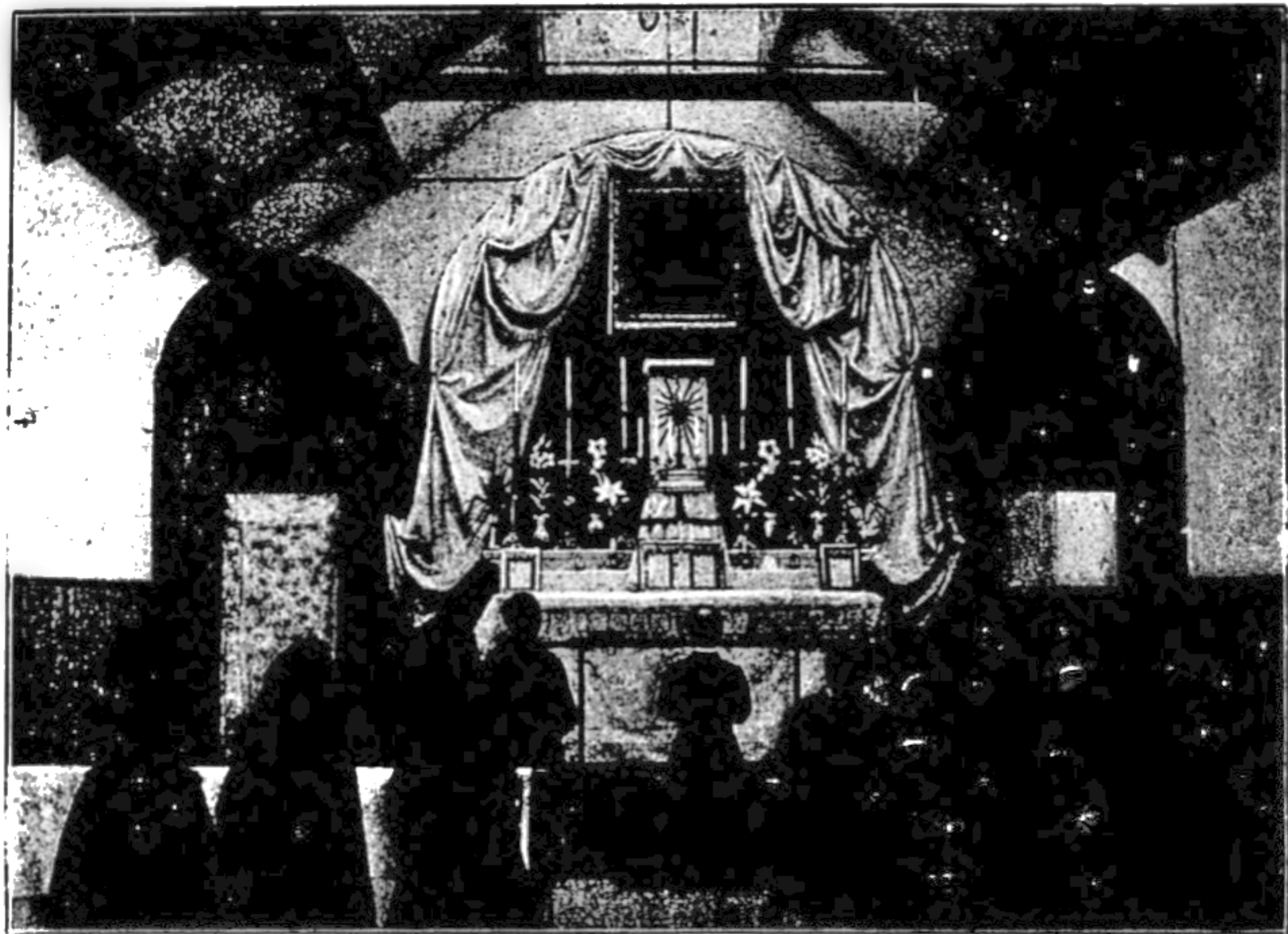
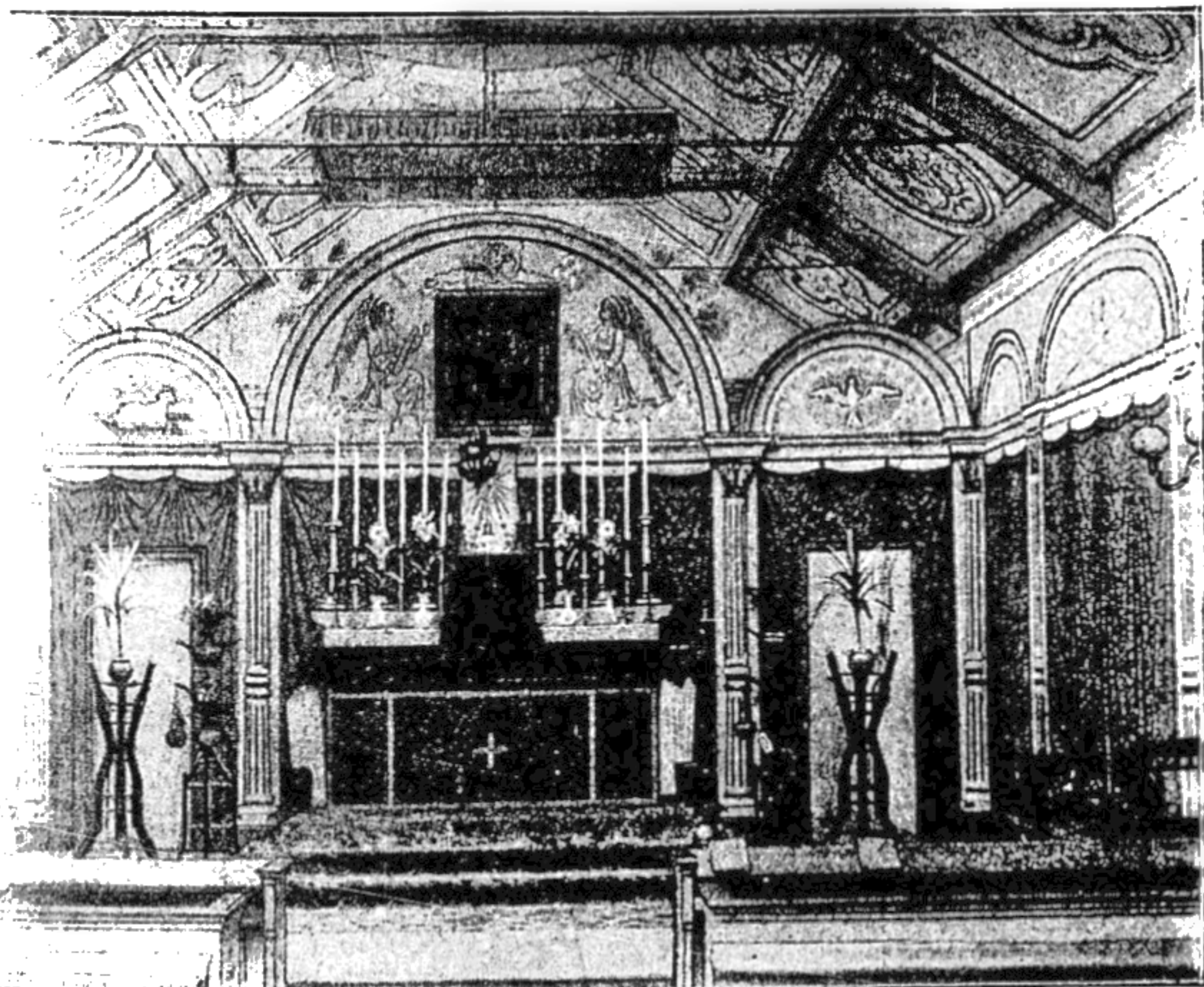
Uderza nas liczny zastęp Litwinów z pod Kowna, Suwałk i Łomży, gdzie panuje stały, lubo nie tłumny ruch emigracyjny na ziemię angielską, utrzymywany i podsycany przez emigrantów, którym się dobrze dzieje. Fabryki Manchestru, oraz

sąsiednich ognisk fabrycznych, zatrudniają znaczną liczbą tych wychodźców, nad Tamizą zaś gnieźdzą się oni gremialnie w podmiejskich osadach Silvertown i Woolwich. Z górą pięćinset ludzi łotewskiej mowy pracuje tam w gazowni i cukrowni, prócz kilkudziesięciu kamieniarzy i grona krawców, zatrudnionych przez wielkie magazyny. Kolonia ta, odsunięta nieco od polskiej, pędzi żywot odrębny i wogóle korzystniejszy wywiera wrażenie. Właściciel cukrowni daje o niej pochlebne świadectwo i widocznie ceni sobie cichego, punktualnego i pracowitego robotnika łotewskiego. Zarabia on średnio trzydzieści szylingów, czyli piętnaście rubli tygodniowo, w czystym i higienicznym pomieszkaniu jego uwija się dziatwa czerstwa i porządnie ubrana; wszędzie znać pewien dostatek. W razie choroby, lud ten ma pomoc lekarza, szkoła mówiącego po polsku, nadto szpital, wreszcie opiekę ze strony sióstr Nazaretanek. Wszyscy robotnicy fabryczni zabezpieczeni są przez właściciela w towarzystwie asekuracyjnym, a nie ograniczając się tem, sami utworzyli kasę bratniej pomocy, tak, że niemocą złożony pobiera około dwudziestu szylingów tygodniowo.

W sobotę po pracy tłum mężczyzn napływa do nędznego, zabrukanego szynku, który—lubo nie słychać w nim języka polskiego—nosi nazwę: „Polish Working Men's Club.“ Litwin o fizygnomii, nie wzbudzającej zaufania, szynkuje dużo piwa, ale mimo to, ani kłótnia ani bójka nie zakłóca ciszy, panującej wokół klubu. Wogóle Litwin góruje pod wielu względami nad brutalnym angielskim robotnikiem; odznacza się tak, jak Polak, pewną ogładą i statecznością w obejściu, co zastanawia tem więcej, że w skład tej kolonii wchodzi znaczna liczba ludzi z ciemną przeszłością, a „East-end.“ zbiorowisko różnych szumowin społecznych, nie wpływa bodaj umoralniająco na żywioły napływowe. Ale skutkiem nieznanomości języka krajowego przepaść dzieli ten lud od świata angielskiego; robotnicy żyją i żenią się w swej gromadzie, a pieniądź zdaje się być ich wielkim cywilizatorem.

Na przedmieściach rzadko napotkać można Polaka, kolonia bowiem rozproszyła się po całym wielkim obszarze wschodniego Londynu i innych dzielnicach, rekrutuje się przeważnie z ludu miejskiego i nosi odmienny charakter.

Wielu emigrantów pracuje w warsztatach



Wnętrze kościoła ŚŚ. Józefa i Kazimierza w Londynie.



Rzemieślnicy Polacy w Londynie.

sprzętów bambusowych, lasek i parasoli, zresztą nie grupują się w żadnej gałęzi przemysłu. Jest między nimi znaczny procent piekarzy, ale nie brak ani krawców i szewców, ani cieśli i mechaników, ani zecerów i... reformatorów. a wszyscy robią wrażenie łanu różnego zboża, zabarwionego silnie kąkolem; rozprężonego ciała, w którym krew nieprawidłowo krąży. Wielkopolanie i Warszawianie przedstawia się najkorzystniej; kilku fryzjerów z nad Warty posiada sklepy na zachodzie miasta, ale gdzież przypatrzeć się tym ludziom, tonącym w morzu obczyzny?

„Towarzystwo polskie“ za swych najlepszych czasów nie liczyło więcej nad pięćdziesięciu członków, inne zaś stowarzyszenia prowadzą żywot efemeryczny. Jedynie wieczorki i przedstawienia teatralne zwabiają liczniejszy zastęp ludzi do siedziby „Towarzystwa.“ Na ten stan rzeczy wpływa rozproszenie żywiołów, ich nierówna skala umysłowa, oraz brak ludzi odpowiednich do sterowania Towarzystwem. Tu zatem otwiera się wdzięczne pole dla misji polskiej.

Kościółek przy Cambridge-road jest niemal jedynym łącznikiem dwóch tych gałęzi naszej rękodzielniczej kolonii, przy której stoi tylko niewielu Polaków z innej warsty społecznej. Spoczywa przeto na misji ciężki obowiązek. Lekeye katechizmu i śpiewu chóralnego, współdziałalność ze stowarzyszeniami, opieka nad przyjezdnymi, którzy, wylądowawszy w porcie obcego, ogromnego miasta, stają się często łupem oszustów - oto kilka paragrafów programu, przekraczającego z natury rzeczy sferę spraw religijnych. Ale prócz księdza wchodzi w skład misji kilka światłych, władających polskim i litewskim językiem sióstr Nazaretanek, ożywionych miłością ludu. I wogóle w obecnym położeniu misja posiada wszelkie warunki, aby sprostać zadaniu i oddać cenne usługi tej kolonii, która stanowi rację i podstawę jej bytu i z taką ufnością skupia się pod jej skrzydłami przed wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

M. W.

Fryderyk Verdinois, z pochodzenia Francuz, jest już dziś Neapolitańczykiem. Jego pradziad przyszedł z królem Muratem z Verdun nad niebieską zatokę i tu się osiedlił, zaś tłumacz „Quo vadis“ i „Rodziny Połanieckich“ urodził się w r. 1844 w Casercie pod Neapolem, słynnej ze wspaniałej rezydencji Bourbonów, zamienionej dziś na szkołę wojskową. Caserta to jak nasz Łobzów pod Krakowem, tylko że ten ostatni zatracił zupełnie dawny charakter.

Znać też po Fryderyku Verdinois, że

nie jest Neapolitańczykiem; patrząc na niego, widzi się raczej francuskiego oficera, o uśmiechu trochę złośliwym w spokojnych, choć przenikliwych oczach; nie masz w nich wesołej dobroduszości, ani gorącego temperamentu Neapolitańczyka, który urodził się u stóp Wezuwiusza.

Verdinois zna jednak Neapol. Z czterech tomów nowelek i obrazków z życia miejscowego

